

Sztuka komunikacji

Z Krystyną Jandą rozmawia Małgorzata Derwich

To nie jest łatwe, zdecydować się na kolejne dziecko, co łączy się z całkowitą rezygnacją za każdym razem z aktywności zawodowej na co najmniej dwa lata, a potem też są obowiązki nie do omińnięcia. Ja się na to zdobyłam trzy razy!

- Do Teatru Nowego w Poznaniu sprowadziła panią „Namiętność”?

- Tekst Petera Nicholasa „Passion Play” noszę „przy sobie” od kilku lat. Od pierwszego czytania podobał mi się. Mówi niby o banalnej zdradzie, trójkącie małżeńskim, o związanym z tym problemie moralnym, ale jest napisany w niebanalny sposób. Cieszę się, że nareszcie mogę go zrealizować. Długo czekałam na właściwy moment. Aż nadeszła propozycja z Teatru Nowego w Poznaniu.

- Jak do tego doszło?

- Ze trzy lata temu, podczas prób do „Siedmiu Grzechów Głównych” w warszawskiej operze, rozmawiałam na ten temat z Januszem Wisniewskim. Mówiłam o „Namiętności” z takim entuzjazmem, że zaproponował mi, abym zrealizowała mój pomysł tutaj. Reżyseruję już od 12 lat i wiem z doświadczenia, że 80 procent energii traci się na tworzenie możliwości wystawienia sztuki, a niewielka reszta pozostaje na sprawy artystyczne. Tym razem pracuję w prawdziwie komfortowych warunkach.

- „Namiętność”, ale i pani serial „Męskie-żeńskie” wskazują, że bliższa jest pani tematyka współczesna...

- Zagrałam wiele historycznych, kostiumowych postaci: Fedrę, Medeę, Elektrę, również Młodziejewską i wiele innych. Gdy byłam młodsza, wszyscy mówili, szczególnie dyrektor Hübner: Krysiu, pamiętaj, aby przynajmniej raz w roku zagrać rolę „do encyklopedii”. Im jestem starsza, tym mniej się tym przejmuję. Bardziej pociąga mnie prowadzenie dialogu z ludźmi, komunikowanie się z nimi za pośrednictwem współczesnego języka. Trzeba opowiadać współczesne historie, ale, niestety, ciągle brakuje dobrej literatury, scenariuszy teatralnych i filmowych.

- Jak pani reaguje na określenie „kino kobiece” czy „twórczość kobieca”?

- Z wyrozumiałością.
- Pani serial „Męskie-żeńskie” nazwano nawet feministycznym...

- Przypięto mu taką łatkę. Może i taki jest, choć mnie się wydaje, że śmieję się tak samo z mężczyzn, jak i kobiet. Nie wiem nawet, czy w przypadku pań ten śmiech nie jest bardziej szyderczy - po prostu znam je lepiej. A wracając do wcześniejszego pytania... Gdy się głębiej zastanowię, to najbardziej „kobieca” rzecz zrobiłam z... Andrzejem Barańskim - była to jego telewizyjna adaptacja „Kobiety zawiedzionej”. Osobiście nie mam nic przeciwko etykietce „kobieca”. Jestem kobietą!

- A według pani być kobietą jest...

- ...fantastycznie! Wiele moich rówieśniczek ma problemy z kobiecością - wolałyby być mężczyznami albo kobietami, ale... młodszymi. Myślę, że jest to kwestia indywidualnego podejścia. Bywa, że kobiecość może być też wymówką. Na przykład moja mama, gdy ma podjąć jakąś niewygodną decyzję czy ryzyko, a nie podejmuje, usprawiedliwia się: Mam do tego prawo, przecież jestem kobietą!

- Wzorowała się pani na mamie?

- Raczej nie. Można powiedzieć, że wychowywałam się obok domu. Najpierw do siódmego roku życia mieszkałam u dziadków. Później z siostrą, byłśmy typowymi dziećmi z klu-

- Absolutnym przypadkiem było to, że poszłam do szkoły teatralnej. Koleżanka poprosiła mnie, żebym jej towarzyszyła podczas wizyty w szkole teatralnej. Teatr mnie nie interesował. Zajmowałam się malarstwem, myślałam, że będę grafikim żurnalowym.

- Żałuje pani, że życie potoczyło się tak, a nie inaczej?

- Nie, ponieważ zamiłowania i umiejętności plastyczne bardzo mi pomagają w mojej pracy w filmie i teatrze. Szkoła plastyczna ukształtowała moją indywidualność, dała mi odwagę w podejmowaniu de-

cie. Dajmy na to - przy „Namiętności” moim scenografem jest znakomity Maciej Putowski, w ogóle otoczyłam się raczej panami. W Łodzi za chwilę zaczynam sztukę, która się nazywa „Lekcja stepu” i mam wokół siebie same kobiety. „Namiętność” to mocna architektura, a „Lekcja stepu” będzie delikatną koronką flamandzką.

- Jest pani aktorką, reżyserem, pisze pani scenariusze i felietony prasowe, prowadzi talk show w telewizji. Która z form wypowiedzi jest pani najbliższa?

liczy, ile jest aktorek w naszym kraju, które zdecydowały się na trójkę dzieci? A ja zdecydowałabym się jeszcze choćby raz, gdybym mogła. Bo przez wiele lat miałam kłopoty z urodzeniem dziecka. Dlatego moi synowie przyszli na świat tak późno. Może dobrze, że właśnie tak los zdarzył? W ogóle uważam, że najpierw jestem matką i żoną.

- Jak układają się pani relacje z córką, a jak z synami?

- Marysię urodziłam jeszcze podczas studiów, jako 21-letnia dziewczyna. Przeszła ze mną przez trudny czas początków kariery, a potem rozvodu i nawet, gdy była małą dziewczynką, traktowałam ją partnersko. Do dziś jest moją przyjaciółką, z którą zawsze szczerze mogę porozmawiać. A synowie od początku traktowali mnie jak enfant terrible - to ja jestem dzieckiem, a oni poważnymi facetami. Nigdy nie wyprowadza-



czem na szyi. Rodzice studiowali i pracowali równocześnie, starali się nas maksymalnie zająć, żeby nie przychodziły nam z siostrą do głowy głupie pomysły. Uczęszczałam więc równocześnie do szkoły podstawowej i muzycznej, chodziłam na zajęcia angielskiego i hiszpańskiego, potem też do warszawskiej operetki na zajęcia studium baletowego. Od samodzielnego wyboru liceum plastycznego podejmowałam do szkoły podstawowej i muzycznej, chodziłam na zajęcia angielskiego i hiszpańskiego, potem też do warszawskiej operetki na zajęcia studium baletowego. Od samodzielnego wyboru liceum plastycznego podejmowałam już decyzję w ogóle sama i dokonywałam życiowych wyborów, czasami zaskakujących również dla mnie. O tym, że jestem w szkole teatralnej, rodzice dowiedzieli się w połowie pierwszego roku!

- Przypadek odegrał dużą rolę w pani życiu?

cyzji artystycznych, wykształciła wciąż poszukującego, świadomego i nigdy niezadowolonego z siebie „twórcę”. Tego nie uczą w szkole teatralnej! Z ryzykiem artystycznym i apetytem na kreację trzeba się spotkać wcześniej. Może to potwierdzić mój mąż, który zanim został operatorem, również ukończył liceum plastyczne.

- Chętnie pani pracuje z mężem?

- Tak, chociaż nieraz dochodzi do konfliktów, ale nie potrafimy być obojętni wobec tego, co robimy. Spieramy się, kłócimy, ale są to awantury twórcze.

- Z kim woli pani współpracować: z kobietami czy mężczyznami?

- To zależy przy jakim tema-

- Najważniejsze jest wiedzieć, co się chce powiedzieć. A do tego, co chcę powiedzieć, dopasowuję medium. Wywiady telewizyjne miały służyć promocji serialu „Męskie-żeńskie”. Felietony prasowe zaczęłam pisać za namową Jacka Janczarskiego, gdy byłam w ciąży. Niektóre teksty są lepsze dla telewizji, inne realizują się w teatrze. Mam nieodpartą potrzebę komunikowania się z ludźmi! A „czy zrobić ten film na slajdach czy na celuloidzie, ale go i tak zrobię” - jak mówiłam w „Człowieku z marmuru”. Tak jest do dzisiaj.

- Czy istnieje Krystyna Janda poza pracą?

- Oczywiście! Niech pani po-

łam ich z błędu, bo mnie i im jest z tym bardzo dobrze.

- Pani dom różni się od pani domu rodzinnego?

- Tego w ogóle nie da się porównać. Wychowałam się w skromnym, prostym domu robotniczym. Natomiast mój dom jest wielopokoleniowym domem artystów. Jestem dyrektorem tego przedsięwzięcia, który stara się nadać mu reguły zwykłego domu, ściśle przestrzega się tu por wspólnych posiłków, a na prośbę mojej mamy (za co jestem jej bardzo wdzięczna) nie wpuszcza doń żadnych mediów. Nie udzielam się towarzysko, nie bywam na bankietach, premierach i jest to moja i mojego męża świadoma decyzja na rzecz rodziny.